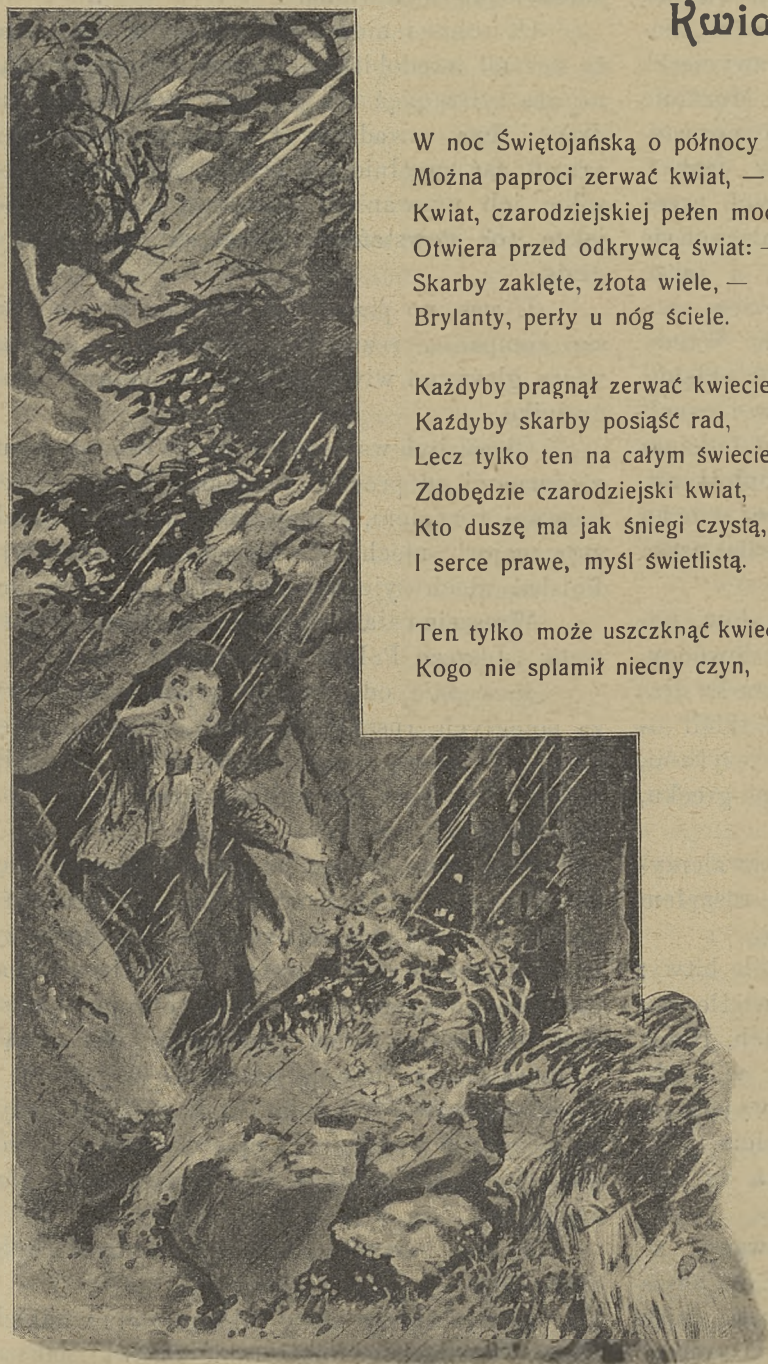


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży
Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.



Kwiat paproci.



W noc Świętojańską o północy
Można paproci zerwać kwiat, —
Kwiat, czarodziejskiej pełen mocy,
Otwiera przed odkrywcą świat: —
Skarby zakłète, złota wiele, —
Brylanty, perły u nóg sściele.

Każdyby pragnął zerwać kwiecie,
Każdyby skarby posiąść rad,
Lecz tylko ten na całym świecie
Zdobędzie czarodziejski kwiat,
Kto duszę ma jak śniegi czystą,
I serce prawe, myśl świetlistą.

Ten tylko może uszczknąć kwiecie,
Kogo nie splamił niecny czyn,

Kto skroń w dobroci blask oplecie,
Przed Bogiem nie ma żadnych win.
Taki przed złem przewagę bierze; —
Bo kwiatu moc piekielna strzeże.

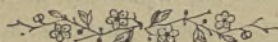
Mówią — w Kupały święto nocą,
Po lesie płyną roje mar,
Z drzew konarami się szamocą,
Rzucając wokół zgubny czar
I przedrzeźniając śmiech puszczyka...
A śmiałka strachu dreszcz przenika.

Tu mu się widmo wnet ukaże,
Z nozdrzy mar bucha skry i dym,
Tu wiedźm szkaradne błysną twarze,
I znikną w cieniu z śmiechem złym.
A dotąd mary wokół krążą,
Aż strachem myśl i ręce zwiążą.

I choć zakwitnie paproć-złoto,
I kwiat jak gwiazdka na niej lśni,
Człek walczyć nie ma sił z martwością,
Tylko mu z oczu płyną łzy,
Tylko mu w piersi rozpacz wzbiera,
Bo po północy kwiat umiera.

Paproci kwiat — to szczęście ludzi,
Kto chce je wziąć na długi czas,
Niechaj się czynem złym nie brudzi,
W cudowny życia idąc las;
Niech duszę ma jak śniegi czystą,
I serce prawe, myśl świetlistą.

Zofja Zacharkiewiczówna.



Wspomnienia z lat młodzięczych.

przez St. Br.

(*Ciąg dalszy.*)

Jeden z nich, dobywszy swojej szabli, podał mi ją i poprosił, żebym mu pokazał, jak to urządziłem, a szabliśko miał jakieś okrutnie ciężkie.

Złożyłem się jednak jako tako, zrobiłem kilka cięć: krzyż, terycę, kwartę i t. d., czem ich jeszcze więcej zająłem.

„Ot, kolego, to to tak, takiego nie zaczepiaj, taki, jak wyrośnie, to będzie żołnierz, co się zowie“—zawołali.

Opowiadali mi potem, że już piechota była wyparta ze wsi, kiedy ten kiepski waryat, który oddziałem nieprzyjacielskim dowodził, rzucił do palącej się wsi, obsadzonej zwycięską piechotą, dwa szwadrony dragonów. Murdelio kazał się piechocie rozstąpić, obsadzić pozostałe niepalące się stodoły i chaty i tak czekać. Dragoni wpadli jak wichur, przelecieli przez puste ulice i oparli się aż o ogień palących się zabudowań i wystawionej na prędcę, a także palącej się barykady, zrobionej z krokiew, sнопów, kawałów dachu, płotów i t. d. Wtedy Murdelio zakomendował: pal! Dragoni skłębili się pod ogniem strzelców i żuawów i runęli nazad, z dwóch stron przeprowadzani ogniem strzelców, ukrytych w chatach i za opłotkami. Ludzi i koni całe stosy zostały we wsi, trochę dostało się do niewoli, a ledwie trzecia część uciekła.

Chwalili bardzo dragonów, ale słów pojęcia nie umieli dobrać dla tego dowódcy, co ich tam posłał. Żałując po koleżeńsku dragonów, którzy tak bezcelowo zginęli, klęli owego komendującego wszystkimi językami, więc i po turecku i po węgiersku i po grecku, i po włosku.

Tymczasem nadjechało kilku kawalerzystów, którym oddaliśmy konie, a ja ruszyłem kłusem, żeby się dostać do furgonów.

Po drodze przejeżdżałem przez pole bitwy; wyglądało strasznie w czerwonym świetle pożaru, pełne trupów ludzkich i końskich. Nieco dalej wszyscy nasi ludzie, złożony w kozły brzoń, gasili pożar, kawaleria zaś, z wyjątkiem pikiet, poszła w ślad za nieprzyjacielem, których przeprowadziła i przepędziła aż do Radomia za rogatki.

Nieprzyjacieli był tak zdetonowany, że zrzadka tylko się odstrzelowali, tak że nasza kawaleria, wpadłszy za nimi do miasta, dając salwy, częścią zeskoczyła z koni i, dopadłszy do jakiejś restauracji, nabrała stamtąd wina,

wódki i w ogóle wszystkiego, co było gotowe do zjedzenia i wypicia, a pan restaurator pieniędzy za to nie chciał przyjąć.

W powrocie jeszcze zabrała kilkunastu maruderów, których z bronią i ładunkami przepędziła do obozu. U nas odebrano im broń i ładunki, dano po szklance wódki i puściło wolno do domu, kilku jednak namówionych przez Gromeykę dragonów zostało dobrowolnie „posłużyt“.

Ten atak kawalerii na Radom był czynem brawury, albowiem w mieście było kilka tysięcy piechoty, dwa pułki dragonów i bateria artylerii, oprócz kozaków; ale był też doskonałą odpowiedzią na raport generała Bellegarda, że w Radomskim powstanie stłumione i zostały tylko niedobitki, które w krótkim czasie będą wyłowione.

Ot tobie i niedobitki! Zapewne też licząc, że z tymi niedobitkami będzie robota, wysłał na nas tylko pięć rot piechoty, (około 800 ludzi), i dwa szwadrony kawalerii (około 300), armat zaś zupełnie nie wysłał, nie chcąc sam sobie ich używaniem kłamstwa zadawać. Bo jakże to? Powstańców niema, a tu armaty grają.

U nas, po przecięciu pożaru, sformowała się kompania, rozwinięto sztandary i dzielna wiara głośnymi wiewatami witała majora i Naczelnika.

Obraz był wspaniały. Przy łunie pożaru, z czarnymi od prochu twarzami, okopceni, oberwani, rozpaleni, przepysznie wyglądali! Niech żyje major! niech żyje Naczelnik! niech żyje Polska! niech żyje wolność! huczało jak grom.

Wreszcie cała partya jednym głosem zaśpiewała: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Następnie, odmówiwszy wspólnie modlitwy za poległych, ruszyliśmy lekko, nie czując zmęczenia, w dalszą drogę, i odszedłszy parę mil, w gęstych lasach już w biały dzień zalegli na odpoczynek.

Nazajutrz dopiero po apelu, pokazało się, ilu naszych brakło. Samych żuawów 3-ia część ubyła; z owej drugiej kompanii, co pierwszy impet wytrzymywała została za ledwie połowa, ale przedewszystkiem wszyscy okropnie żalowali Zaremby, będąc przekonani, że zginął. Tymczasem on, leczony starannie w jednym z sąsiednich dworów, mimo tak ciężkiej rany, wyleczył się zupełnie i dopiero w czterdzieści dwa lata potem padł w Warszawie z ręki złooczyńcy.

Razem naszych zabitych i rannych było około 200.

Nieraz słyszy się o okropności wielkich bitw. Zapewne na pozór takie bitewki, jak nasze, wyglądały w porównaniu z bitwami, gdzie

walczą dziesiątki lub setki tysięcy, jak zabawka.

W rzeczywistości jednak, t. j. co do proporcjonalnej ilości strat i czasu stania walczących w niebezpieczeństwie — po stronie naszych małych utarczek jest stanowcza przewaga.

W samej rzeczy w wielkich bitwach zupełnie tak samo jak i w małych, jeden jakiś oddział ściera się z drugim, a co się dzieje o dwadzieścia wiorst na prawo albo na lewo, ostatecznie mało go obchodzi. Oprócz tego w wielkich bitwach dla jednego poszczególnego oddziału pobyt w niebezpieczeństwie pod kulami trwa stosunkowo krócej; jakiś jeden atak lub obrona, a potem już *rozmowa* do innych oddziałów przechodzi.

A u nas bywało często, jak się zacznie od świtu to ciągnie się do zmierzchu, a bywało na drugi i trzeci dzień kule gwiżdżą od rana do wieczora, że i największemu amatorowi muzyka ta w końcu się uprzykrzy, a ciągle ci sami muszą jej słuchać i stać w ogniu.

13. Dalsze losy. — Nowa bitwa.

Tak tedy na wspomnianiu o zabitych i rannych kolegach zeszło nam poobiedzie, a na noc ruszyliśmy dalej, piechota na furmankach a cała partya kłusem.

Na mnie akurat przypadł dyżur, bo w czasie bitwy Kowalskiej był wolny dzień. Murdelio mnie trochę z razu ofuknął za to, że w czasie bitwy z konia zszedł i zamiast furgonów pilnować, pobiegłem za ową atakującą kompanią (bo ten człowiek wszystko wiedział), ale dodał: „Za to żeś cały szwadron dragonów rozbił, to już pod karabiny nie pójdziesz, ale drugi raz głupstwa nie rób, i jeżeliś nie dyżurny, to pilnuj furgonów, a nie lataj bez karabina na bagnety“.

Tak więc skończyło się na niczem. Pan major wybrał sobie z owych zdobywczych koni ogromnego oficerskiego dromadera, bo jak wszyscy ludzie niskiego wzrostu, miał słabość do wielkich koni, a że wyglądał na nim, jak pchła na wielbłądzie, więc żuawi, zaczęli szeptać: „i na ogromnym smoku jeździć będziesz!“ Stąd już smoka przydomek w partyi otrzymał.

Tej nocy użyłem na wymijaniu podwód i furgonów, jadących kłusem, aż mi zbrzydło. Na drugi dzień rano podrapany, poszarpany, gdy rozwidniało i stanęliśmy do napicia się wody, do Bożego stworzenia nie byłem podobny.

O jakże zazdrościłem wylegującej się wygodnie na wozach piechocie! Wymywszy się jako tako i poszczepiawszy porozrywane ubranie, stawiłem się z mapą, major roześmiał

się i rzekł: „dobrze ci tak, za to żeś pod Kowalami z konia zsiadł!“ Jednakże już mnie z dyżurów zwolnił i zajął się tem, żeby mi nowy mundur i ubranie przysposobić, gdyż zwłaszcza inexprymable w okropnym były stanie, tak że moi koledzy — jako to naród złośliwy, pytali mnie:

„Co to, Stefek, czy ty na Wojtka imię zmieniłeś?“

A że to był wielki dyshonor dla pana adjutanta taki kostium, a raczej brak kostiumu, więc mi zaraz nowy garnitur przynieśli, i jakichś dwóch na rozkaz Murdeliona wynalezionych krawców szybko zwęziło i skróciło go odpowiednio do mojej figury.

(d. c. n.)



Jak budować dom.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

O m a t e r y a ł a c h.

„Z pustego i sam Salomon nie naleje.“ „Z piasku biczka nie ukęcisz“, przysłowia te stwierdzają ogólnie znaną prawdę, że z niczego nic zrobić nie można, że zatem do budowy domu i każdego w ogóle budynku należy przygotować odpowiedni materiał, od którego trwałości i gatunku zależy trwałość i moc budowli.

O tych więc materiałach będę mówił w niniejszym rozdziale. Może wyda się niektórym czytelnikom „Wieczorów“ nudnym, ale uważam, że skoro się o czemś pisze, to trzeba pisać dokładnie, a każdy człowiek cywilizowany i inteligentny, choć nie budowniczy ani technik z zawodu — powinien wiedzieć choćby w ogólnych zarysach, z czego się składają i budują domy, w których trzy czwarte życia swego spędza.

A czy nie będzie to istotnie chlubą dla czytelników „Wieczorów“, jeśli mając sposobność na wsi a nawet w mieście przyglądać się budowie domu, potrafią patrzeć na tę czynność *rozumnie*, to jest z pewną świadomością rzeczy i wypowiedzieć, gdy się pora zdarzy — praktyczną uwagę lub wskazówkę.

A więc nie zniechęcajcie się suchością przedmiotu!

Oto są główne materiały, które należy przygotować do budowy domów zwłaszcza murowanych. O drewnianych będę mówił później.

Cegła. Cegła powinna mieć ostre kanty, być dobrze wypalona ze starannie wymiesza-

nej gliny. Dobre wypalenie poznaje się po metalicznym dźwięku przy uderzeniu. Źle jest, jeśli cegła zawiera w środku białe kawałeczki marglu, który jest mieszaniną gliny z węglanem wapnia i innymi ciałami, bo ten po wypaleniu zamienia się w wapno, które po zamoczeniu cegły rozrywa ją i psuje.

Próbować dobroć cegły najlepiej przez zaurzenie kilkotygodniowe w wodzie: niepowinna ona pękać ani tracić ostrości kantów.

Kolor cegły nie posiada żadnego znaczenia, owszem blado różowa lub żółta cegła, jeżeli ten kolor zachowa przy dobrem wypaleniu, zwykle bywa najlepsza.

Na fundamenty najstosowniejsza jest cegła przepalona, z dolnych warstw pieca pochodząca, t. zw. zenderówka.

Belki i deski. Kto posiada las, winien sztuki potrzebne na belki i deski, a także na ściany budynków drewnianych ścinać w grudniu i styczniu, to jest wówczas, kiedy w drzewie nie krążą soki. Liczne bowiem próby dowiodły ogromnej wyższości w trwałości drzewa wyrąbanego w zimie, nad ścięciem w innej porze roku. Nie mając takiego drzewa, we właściwej porze zrąbanego, bezpieczniej już sprowadzać je z dalekich stron wodą, bo ta przez dłuższy czas znaczną część soków wypłukuje.

Tak często spotykany ostatnimi czasy w budynkach *grzyb*, powstaje właśnie przez użycie drzewa w niewłaściwym czasie rąbanego i wilgotnego. }

Zatem belki i deski powinny być zupełnie suche, lekkie, dźwięczne przy uderzeniu, bez niebieskich zacieków i bez najmniejszych śladów zmurszałości.

Jeżeli budowanie domu odbywa się w pobliżu miasta, posiadającego fabryki stolarskie, to najpraktyczniej kupować deski, wysuszone w suszarni, z gotowemi szpuntami dla podłóg, drzwi zaś i ramy okienne gotowe z takiegoż dobrze wysuszonego materiału.

Wapno. Wapno jest to połączenie wapnia z tlenem; wapno gaszone, to jest połączone z wodą, ma własność łączenia się z kwasem węglanym powietrza w twarde węglany, co mu nadaje wielką wartość, jako materiału spajającego cegły, kamienie i t. p. Gra więc rolę przy budowie, jak klej w stolarstwie.

Do budowania trzeba przygotować wapno niegaszone, to jest kamień wapienny, odpowiednio wypalony.

Wapno takie powinno być dostawiane w kawałkach a nie w proszku; po próbnem zagazowaniu wodą pewnej ilości, dana objętość wapna niegaszonego powinna wydać najmniej 2½ objętości wapna gaszonego, którem się smaruje później cegły przy ich układania.

Wapno po zwiezieniu natychmiast *lasować* należy. W tym celu kopie się odpowiedniej wielkości dół, a obok niego wstawia trochę pochylą długą płaską skrzynię, z otworem w bocznej ścianie nad dołem; otwór ten powinien być zaopatrzony w siatkę drucianą i zasuwę.

W skrzynię sypie się wapno niegaszone, potem polewa wodą, dopóki się cała ilość wapna nie rozsypie w proszek, co gdy nastąpi dolewa się więcej wody i następnie miesza grubą deską osadzoną na drągu. Wapno z wielką ilością wody tworzy gęsty płyn, zwany mlekiem wapiennym, który po odsunięciu zasuwki spływa do dołu, przyczem kamyki i nierozmieszane należycie wapno pozostaje w skrzyni poza siatką.

Do mieszania wapna trzeba użyć kilku silnych ludzi, którzyby jednocześnie szybko posuwali w tył i naprzód graczę, nie dając wapnu osiadać.

Dół wapienny powinien mieć dno wyłożone deskami, a w razie kruchości także i ściany, żeby się ziemia nie osypywała.

Spuszczone do dołu zgaszone wapno wkrótce gęstnieje i zamienia się w ciasto zupełnie do świeżego sera podobne. Przy wybieraniu wapna z dołu, trzeba pilnować, żeby je wybierano z jednego tylko końca, równo aż do samego dna.

Chcąc przechować wapno długi czas, należy je spuszczać do głębszych dołów i wypełniać doły nie wyżej niż na dwa łokcie pod powierzchnią ziemi, następnie pokryć wapno kilkocalową warstwą czystego piasku, a potem przysypać wszystko ziemią.

Tak zadołowane wapno może setki lat spoczywać, i nie tylko nie psuje się, ale poprawia.

Piszzącemu udało się raz za pomocą świdra odnaleźć ogromną ilość takiego wapna, o którym tylko legenda głosiła, że je hetman Mazepa, który miał w tem miejscu sobie pałac budować, zadołować kazał w 1700 r.

Wapno to było wyborne, chociaż z górą 200 lat w ziemi przeleżało.

Objasnię jeszcze bliżej *proces chemiczny twardnienia wapna*, na którym opiera się spajanie materiału budowlanego.

Wapień znajduje się w przyrodzie w postaci kamienia wapiennego, a najczęściej kredy, która się składa z małych skamieniałych muszelek, wapiennych szkieletów mikroskopijnych żyjątek. Jest wtedy połączony z kwasem węglanym (węglan wapnia CaCO_3). Przy wypaleniu węglanu wapnia w piecach, zamienia się na tlenek wapnia CaO , albowiem kwas węglany pod wpływem gorąca ulatnia się, a na jego miejsce wstępuje tlen z powietrza.

Przy tak zwanem gaszeniu tego palonego wapna wodą, następuje nowy związek: wodanu wapnia CaH_2O który w cienkich warstwach między cegłą, przyciąga znowu kwas węglany z powietrza i zamienia się w dawny węglan wapnia, przyczem twardnieje i spaja cegły.

Do twardnienia zaprawy wapiennej niezbędnym warunkiem jest czysty piasek, który nie tylko ułatwia przenikanie powietrza i kwasu węglanego, ale po dłuższym czasie przez podwójny rozkład łączy się chemicznie z wapnem, tworząc krzemiany wapnia. Tem się tłómaczy owa niezwykła twardość zaprawy wapiennej w starożytnych budynkach.

Cement. Jeszcze lepszą zaprawą spajającą od wapna, tylko znacznie droższą—jest cement, który używa się do murowania i tynkowania murów wystawionych na wilgoć i wodę, bo pod wpływem wody twardnieje. Cement jest to mieszanina wapna i gliny, wypalona i sproszkowana. W okolicach wulkanów znajdują cement naturalny, lecz przeważnie robiony jest sztucznie i dlatego trzeba go zawsze nabywać w znanych i renomowanych fabrykach. Cement jest dość drogi, trzeba go więc używać oszczędnie.

Beczki z cementem powinny być dostawione *podczas suchej pogody*, ułożone w suchym budynku, na legarach wysokich, tak żeby pod beczkami był swobodny przewiew powietrza. Cement musi być w postaci bardzo miążkiego proszku, jeżeli są w nim grudki, to te już „siłę straciły“ i tylko do drugorzędnych robót po sproszkowaniu i przesianiu użyte być mogą.

Do zaprawy cementowej dodaje się także piasek, który musi być absolutnie czysty i ostry.

Wszelkie roboty cementowe należy przez dłuższy czas pilnie strzedz od słońca i wiatru, przez pokrycie mokrą słomą, burzanem lub innym zielskiem.

(d. c. n.)

St. Br.

WESTALKI.

Na Forum Romanum, u stóp Palatyńskiego wzgórze, stała przez wiele wieków okrągła a niezwykle poważna świątynia. Drzwi jej, zamknięte nawet dla cezara, otwierały się tylko przed najwyższym kapłanem i przed Westalkami.

Były to dziewice, oddane na służbę Westy, bogini cnót domowych, które w niewinności biorą początek.

W świątyni gorzał nieustanny ogień, symbol ogniska miłości rodzinnej. Westalki dzień i noc podsycaly święty płomień, gdyż wygaśnięcie zarzewia miało wedle mniemania Rzymian sprowadzić straszne na ojczyznę klęski. Nie dość jednak było strzedz ognia, należało strzedz go czystymi od grzechu rękami. Bogini pozwalała sobie służyć tylko niewinnym sercom.

Służba to była ciężka ale i zaszczytna. Ciężka, gdyż Westalkę łamiącą śluby zakopywano żywcem w ziemi, skazując ofiarę na wolną śmierć, — zaszczytna, bo przed świętami dziewicami korzyli się najpierwsi dostojnicy starej Romy. Westalki miały prawo łaski; wiedziony na śmierć przestępca otrzymywał wolność, jeśli udało mu się spotkać po drodze orszak kapłanek bogini Westy. Znał i czcił Rzym ich białe powłóczyste szaty, białe zasłony, spadające od czoła. Wyobrażały mu niepokalaną świętość kobiety, strzegącej dostojństwa rodzinnego ogniska.

Westalki mieszkały wszystkie razem obok świątyni, w domu własnym zwanym Atrium Vestae. Było ich sześć, najstarsza sprawowała władzę przełożonej kapłanek. Wybierano je z łona zacnych rodzin rzymskich, kiedy miały nie mniej niż sześć i nie więcej niż dziesięć lat. Kalectwo stanowiło przeszkodę w przyjęciu, o przyjęciu zaś tem decydowali za dziecko rodzice; sierotom wstęp do Atrium był wzbroniony. Służba Westalki polegała na strzeżeniu ognia i utrzymywaniu porządku w świątyni, trwała zaś lat 30. Po upływie lat 30 zwolniona od swych obowiązków kapłanka wracała do rodziny i mogła iść za mąż, ale traciła wtedy wszystkie swoje przywileje.

Załączona rycina przedstawia wizerunek Westalki, takiej jaką czcił stary Rzym. Dziś inne nastały czasy, Zgasł od lat wielu na Forum Romanum ogień bogini Westy. Znikły z ulic starego grodu białe szaty jej służebnic, ale domowe ogniska zachowały swe tradycyjne znaczenie. Zadaniem niewiasty chrześcijańskiej strzedz ich dostojństwa, być Westalką przez czystość uczuć, ogrzewać i krzepić serca płomieniem miłości Bożej.

Te zaś, które pragnąc osiągnąć wyższy stopień doskonałości i wyrzec się świata, poświęcają się wyłącznie służbie Bożej, wstępując do zakonu.

Z. B.





Westalka. (p. str. 293)

MATURA.

Prześliczny dzień letni miał się już ku zachodowi; od strony miasta dolatywało echo dzwonów, zwiastujących jutrzejsze święto, zresztą żaden turkot, żaden szmer nie przeszkadzał w pracy młodzieńcowi, siedzącemu w głębi parku Łazienkowskiego, z książką otwartą na kolanach. A jednak nauka nie szła mu dzisiaj! daremnie, powtarzał sobie, że to już za dwa tygodnie matura. Kłopot, który mu ciążył na głowie, nie dozwalał przykuć myśli do książki.

— Ach ten Alfred! potrzebnie to mu przyszedł taki koncept! Naturalnie, że wszyscy pójdą za jego zdaniem, choć to przecie nie ma najmniejszego sensu, żeby sobie Bóg wie dla czego przymnażać wydatków, skoro w klasie jest tylu ubogich uczniów, których nawet na to, co konieczne nie stać. Wpis drogi, a teraz jeszcze wspólna kolacja, no i ta fotografia... Żeby jeszcze dawnym zwyczajem fotografowali się wszyscy odrazu, we wspólnej grupie, to ten, któregooby stać było na taki wydatek, kupiłby sobie tę fotografię, za półtora rubla, a ubożsi mogliby nawet nie wcale nie płacić. Ale Alfred znalazł, że ta grupa

nie warta, że trzeba, aby każdy najpierw sam się fotografował w biletowym formacie, a potem dopiero fotograf ułoży z tego wspólną grupę, w sposób najmodniejszy, a Alfredowi tylko to się podoba, co modne i drogie!

No i prawdę powiedziawszy cała klasa odrazu prawie przyjęła jego wniosek, nie oglądając się na to, że w taki sposób każdy z kolegów będzie musiał zapłacić przynajmniej cztery ruble. Bogatszym nie stanowi to różnicy, ubożsi może wstydzić się powiedzieć, że żałują, a może nawet wcale nie mają tyle pieniędzy.

Do tych uboższych należał także on, Stanisław Drewski — tym razem wprawdzie wyjątkowo miał w kieszeni kilkanaście rubli, przysłanych mu przez dziadka na drogę do niego i ubranie; ale chłopcu, przyzwyczajonemu do oszczędności, patrzącemu nieustannie na ciężką pracę matki, na tyle potrzeb nigdy niezaspokojonych w domu, żal było każdego marnie wyrzuconego grosza.

A to był przecie grosz marnie wyrzucony! Ta kolacja w restauracji i droga grupa, kiedy fotografowanie się we wspólnej grupie, choć więcej, niż o połowę tańsze, mogło stanowić równie miłą pamiątkę.

Choć głęboko o tem przekonany, Stanisław jednak nie ośmielił się odezwać dotąd ze swoim zdaniem; powstrzymywała go właśnie obawa, aby koledzy nie posądzili go, że mu chodzi wyłącznie dla siebie o oszczędzenie tych paru rubli. Gdyby był bogaty, przedstawiłby im całą sprawę bardzo jasno i wymownie, ale, że był ubogi, czyniło to takie wystąpienie o wiele trudniejszym.

Nazajutrz rano, cała ósma klasa zgromadziła się wcześniej, miano bowiem ostatecznie obradzić i zdecydować sprawę kolacji i fotografii. Alfred Gorczykowski, najstarszy, najbogatszy i bardzo zdolny uczeń, stanął na katedrze profesora i zabrał głos:

— Zdaje mi się koledzy — mówił — że nie mamy nad czem radzić, bo wszyscy jesteśmy jednego zdania! Fotografujemy się tak, jak będzie najładniej i najmodniej, choćby nawet miało być drożej, a potem śniadanie w Sielance! — Tych parę rubli, to bagatela, gdy chodzi o miłą pamiątkę na całe życie. — Drugi raz matury zdawać nie będziemy, więc nie mamy sobie co żałować — kto jest za moim wnioskiem, niech podniesie rękę!

Kilka, kilkanaście, a wreszcie kilkadziesiąt rąk podniosło się w górę — nagle z tylnych ławek odezwał się nieśmiały głos: — Pozwólcie koledzy i mnie powiedzieć dwa słowa, nim ostatecznie tę sprawę zdecydujecie!

Alfred zmarszczył brwi, odgadł odrazu, że wniosek jego napotkał niespodziewany opór,

Jak dawniej zdobywano warownie.



Król Bolesław Krzywousty zdobywa zamek Białogród na Pomorzu (około r. 1121).

a ten przywódca całej klasy nie był przyzwyczajony, aby mu kto śmiał się sprzeciwić. I to kto jeszcze?... nie żaden „celujący“, którego zdanie mogłoby się za coś liczyć, tylko taki Drewski, w wytartym mundurze, co kując od rana do wieczora, ledwie z biedą przełaził z klasy do klasy.

Inni koledzy również byli zdziwieni wystąpieniem Stanisława, on tymczasem zaczerwieniony, przesuwając się między rzędami ławek, aż stanął na samym przodzie i zaczął mówić głosem zrazu bardzo niepewnym, ale nabierającym z wolna coraz to więcej mocy i stanowczości.

— „Koledzy — nie godzę się na propozycję Gorczykowskiego i stawiam wniosek zupełnie przeciwny; po pierwsze: żadnego śniadania w restauracji, tylko wspólna wycieczka, gdzie i siadłe mleko wystarczy; po drugie: fotografujemy się we wspólnej grupie, aby to kosztowało jak można najtaniej! Między nami wielu jest takich, dla których parę rubli mniej lub więcej ma wielkie znaczenie.

„Ja sam jestem w takim położeniu i nie wstydzę się przyznać do tego, że mi żal każdego niepotrzebnie wydanego grosza. Przytem idzie mi nietylko o oszczędność kieszeni mojej i moich uboższych kolegów, idzie mi o zasadę:

„Jesteśmy członkami społeczeństwa biednego, którego nie stać na zbytki, bo dla wielu nie stać nawet na kawałek chleba! Za dwa tygodnie mamy rozpocząć życie jako ludzie uznani już za dojrzałych i mogących pożytecznie pracować dla kraju, — nie rozpoczynajmy go zatem krokiem nierozsądnym, choćby na pozor małej wagi.

„W naszym położeniu najdrobniejszy nawet zbytek, jest grzechem. Każdy grosz wyrzucony, każda stracona godzina czasu, każde zmarnowane uderzenie serca, to krzywda, którą dobrowolnie wyrządzamy tym wszystkim wielkim i świętym hasłom, którym pragniemy służyć do ostatniej kropli krwi! Zatem: kto jest za tańszą fotografią i wycieczką bez restauracji, niech rękę podniesie!

Stanisław umilkł i poblady od wzruszenia patrzył na swoich kolegów, którzy nawzajem mierzyli nieśmiałego chłopca spojrzeniem zdumionem. Sekundę głucha cisza panowała w klasie i nagle wszystkie ręce zamiast podnieść się w górę, złożyły się do gorącego oklasku, okrzyki: „Wiwat! niech żyje Staszek! niech żyją nasze hasła!“ rozbrzmiały dookoła.

Alfred zstąpił z katedry i wyciągając rękę do kolegi, tak dotąd lekceważonego, rzekł głośno: Dziękuję ci, że powstrzymałeś całą klasę od zrobienia głupstwa, do którego ja, nie zastanowiwszy się nad tem, chciałem ją nakłó-

nić. Za dwa tygodnie rozstaniemy się, ale proszę cię, bądźmi przyjaciółmi na całe życie!

Nazajutrz, profesor języka polskiego, mający ostatnią już godzinę u maturzystów, rzekł:

— Dwa tygodnie oddzielają was jeszcze od chwili, kiedy macie otrzymać patent dojrzałości — mam nadzieję, że się wam wszystkim powiedzie przy egzaminie! w każdym razie dajcie wczoraj dowód, że pod względem zapamiętania na życie i poczucia waszych obowiązków jesteście już dziś wszyscy ludźmi dojrzałymi.



JULIUSZ VERNÉ.



Wśród Eotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Ojcie! błagała Marta — powiedz, czy jesteś chory?

— Jerzy — zwrócił się Jan do Sturita — powiedz, co się stało?...

Matias z trudem powstał z krzesła, zbliżył się do Jerzego, odjął mu ręce od czoła i, patrząc mu w oczy badawczo — zapytał, głosem zdławionym:

— Więc te banknoty, które odniosłeś dzisiaj do banku Johansenów... pochodzą z pugilaresu Pocha...

— Tak — odparł Jerzy.

— A więc już niema dla mnie ratunku... jestem zgubiony... zgubiony... — wołał nieszczęśliwy człowiek, wodząc błędnymi oczami dokoła i żył w mu nabrzmiały na czole i skroniach.

Odrącił dzieci, zbiegł pośpiesznie ze schodów, wyskoczył na ulicę i wkrótce znikł w ciemnościach.

Marta i Jan byli zupełnie oszołomieni tą straszną sceną. Słowa: „skradzione banknoty“ dźwięczały ciągle im w uszach, lecz nie umieli sobie zdać sprawy z ich znaczenia.

Zwrócili się z pytaniem do Jerzego. Ten blady z oczami spuszczone, głosem złamanym opowiadał im wszystko... chciał ratować Matiasa, a tymczasem zgubił go ostatecznie... kłóć bowiem uwierzy w niewinność Ozolina teraz, gdy fatalne banknoty powierzone Pochowi, znalazły się w rękach Sturita... wszyscy przecież wiedzieli, że pieniądze te doręczył mu w Parnawie Ozolin.

Marta i Jan, złamani tą wieścią strasliwą, nie mogli się wstrzymać od łez.

— Ale ja muszę dowieść jego niewinności! —

wykrzyknął Jan. Wtem weszła służąca z oznajmieniem, że przybyli agenci policyjni, chcący się widzieć z profesorem. W chwilę później we drzwiach ukazał się podoficer Eck z rozkazem uwięzienia Matiasa Ozolina.

Policja nie chciała uwierzyć w nieobecność profesora i rozpoczęła poszukiwania w mieszkaniu.

Tymczasem Marta, Jerzy i Jan wybiegli na ulicę, kierując się w stronę, w którą się udał Matias. Przeszli szybko przedmieście rozpytując przechodniów, wkrótce stanęli przed rogatką. Pomimo, że noc już zapadła, minęli roгатkę i znaleźli się na trakcie Parnawskim.

Teraz posuwali się naprzód wolniej, rozglądając się na prawo i lewo. Nagle stanęli.

O dwieście kroków od rogatki tuż przy drodze leżał jakiś człowiek.

Pochylili się nad nim wszyscy troje.

Był to Matias Ozolin.

Jan i Marta z okrzykiem bólesci przypadli do zwłok ojca. Jerzy pobiegł do sąsiedniego domu szukać pomocy.

Po krótkiej chwili wrócił. Za nim szli ludzie z noszami, na których ułożono zwłoki Matiasa i odniesiono do domu.

Wezwany doktor Paolin stwierdził śmierć nagłą. Biedny człowiek nie mógł przenieść oskarżenia, które pod wpływem rozpaczyny zdawało mu się nie do obalenia.

XV. Na grobie.

Nagła śmierć człowieka, który stał na czele partii łotewskiej, w okolicznościach stanowczo uwłaczających jego czci i dobremu imieniu, przyczyniła się do zwycięstwa Niemców w walce wyborczej. Widoczne było jednak, że to już zwycięstwo ostateczne, że Łotysze nie cofną się w pół drogi i pierwiej lub później należne im prawa zdobędą.

Zgon Matiasa Ozolina w chwili, gdy skradzione bilety trafiły przypadkowo do rąk Johansenów, usuwało wszelkie wątpliwości co do osoby przestępcy. Oczywiście Ozolin znajdował się w położeniu bez wyjścia... depozyt, powierzony mu przez Michała Sturita wydał... nie rachował wcale na powrót Jerzego z kopalni syberyjskich... zaskoczony zniecka jego listem, potajemnie wyruszył do Parnawy, prawdopodobnie po to, by błagać go o przebaczenie... w drodze przypadek zetknął go z Pochem, który wiozł znaczne pieniądze do banku Rewelskiego... w głowie jego powstała myśl kradzieży. Złamanie powozu ułatwiło to zadanie, za cenę hańby zdobył pieniądze i spłacił dług Sturitowi... groził mu jeszcze wprowadzić dług inny... dług Johansenów, lecz tu rachował może na przedłużenie terminu albo na po-

moc ze strony Jerzego. Tak rozumowano powszechnie. Śmierć Matiasa oczyściła również Kroffa od wszelkich podejrzeń. Stało się to właśnie w chwili, gdy Kerstorf miał wydać rozkaz uwięzienia szynkarza.

Kroff więc rozpoczął dawny tryb życia, czas jakiś nawet był przedmiotem ogólnej litości jako ofiara niewinnie oskarżona.

Prędko jednak zapomniano o nim, życie popłynęło swoim torem.

Po pogrzebie profesora, Jan nie wrócił już do Dorpatu. Oboje z Martą dni całe spędzali w domu. Wszyscy znajomi usunęli się od nich, wiernymi w przyjaźni pozostał tylko doktor Paulin, konsul Delaporte i, oczywiście, Jerzy Sturit.

Młodzi Ozolinowie byli zupełnie złamani. Nie umieli sobie zdać sprawy z tego co przeżyli w ostatnich czasach. W winę ojca nie wierzyli.

Jerzy Sturit odrzucał także uparcie świadectwo faktów. A jednak myśl o strasznej chwili, którą przeżył w banku, nie dawała mu spokoju... Jeżeli Matias nie ukradł pieniędzy z pugilaresu Pocha, skąd te same banknoty wzięły się u niego?

Jerzy prowadził na ten temat długie rozmowy z wiernym przyjacielem rodziny, doktorem Paolinem, który odpowiadał zawsze z nieubłaganą logiką:

— Byłbym gotowy przypuścić wszystko, mój drogi Jerzy, wszystko... co do banknotów zaszła jakaś fatalna pomyłka... Matias padł rażony apopleksją z rozpaczyny, że nie może dowieść swej niewinności.

Jerzy pochylił głowę w milczeniu.

Po chwili Paolin zaczął znowu:

— Cóż się teraz stanie z nieszczęśliwymi dziećmi Matiasa... Co zrobi z sobą Jan?... Jaki los czeka Martę...

— Marta będzie moją żoną...

Doktor z niepokojem ujął dłoń Jerzego.

— Więc mógłbyś przypuszczać, doktorze, że byłbym zdolny opuścić Martę... ożenię się z nią... nawet, gdybym o winie ojca był przekonany...

— Nie, Jerzy, nie sądziłem nigdy, że mógłbyś opuścić Martę... Przecież ona za winy ojca odpowiadać nie powinna.

— Jest to najszlachetniejsza, najzacniejsza istota pod słońcem!— zawołał Jerzy z zapalem.— Małżeństwo nasze odłożono... lecz pobrać się musimy...

W razie potrzeby gotów jestem opuścić Rygę...

— Jerzy, poznaję twe szlachetne serce... Nie wątpię o tobie nigdy, tylko... czy Marta zechce?...

— Jeżeli odmówi, to znaczy, że nie żywi dla mnie żadnego uczucia.

— Jeżeli odmówi, to właśnie będzie dowodem jej przywiązania... bo nie chce, byś się ru-

mienił przed ludźmi, z powodu plamy na jej nazwisku!...

Po tej rozmowie Jerzy postanowił przysięść ślub. O opinię miasta, o sądy ludzkie nie dbał wcale. Przyszłość go nie trwożyła. Z depozytu po ojcu pozostało wprawdzie zaledwie dwa tysiące rubli, lecz miał przecież młodość, energię i wykształcenie fachowe. Na utrzymanie zapracuje zawsze...

Upłynęły dwa tygodnie. W życiu naszych znajomych zmian żadnych nie zaszło. Jan i Marta dni całe spędzali pogrążeni w bolesnej zadumie. Paulin i Jerzy przychodzili codziennie.

Pewnego razu Jerzy znalazł się sam z Martą, postanowił wymódl na niej oznaczenie dnia ślubu.

— Marto — zaczął głosem wzruszonym — czy pamiętasz nasze rozstanie przed czterema laty... gdy odjeżdżałem na Syberję... przysięgaliśmy sobie wierność do zgonu...

— Pamiętam.

— W moich uczuciach dla ciebie nic się dotąd nie zmieniło...

— Ani w moich Jerzy... Marzyłam o tem, żeby pojechać do ciebie, Jerzy... Gdyby władze były zezwoliły, byłabym dawno twoją żoną...

— Moją żoną... Żoną skazanego?..

— Nie — żoną wygnańca politycznego — odparła z przyciskiem.

Jerzy udał, że myśli ukrytej w tych słowach nie zrozumiał i mówił dalej:

— Tymczasem, okoliczności się zmieniły, Miałas przyjechać do mnie na Syberję, aby zostać moją żoną... Zamiast tego ja przybyłem do Rygi, abyśmy tu połączyli się.

— Masz słuszność, Jerzy, iż okoliczności się zmieniły... Zmieniły się straszliwie... okropnie...

Słowa te wymówiła ledwie dosłyszalnie... łkanie bólu wstrząsało całym jej ciałem.

— Droga Marto — uspakajał ją Jerzy... — nie myśl, że chcę poruszać tak ciężkie wspomnienia... pragnęłam tylko upomnieć się o twoje słowo...

— O moje słowo, Jerzy,—przerwała Marta z nowym wybuchem łkania... gdy je dawałam, byłam jeszcze godną ciebie...

— I dzisiaj nią jesteś...

— Nie Jerzy... nie... musimy zapomnieć o tem, co było...

— Nigdy, Marto... Gdyby nie śmierć twego ojca, od dwu tygodni byłabyś moją żoną!..

— Tak — odparła Marta z rezygnacją... — lecz Bóg tego nie chciał.. I dzięki mu za to... Byłbyś może żałował, że wszedłeś do rodziny... nieszczęśliwej... teraz nie będziesz przynajmniej potrzebował rumienić się za nią...

— Marto — przerwał Jerzy z mocą... — przysięgam... nie byłbym nigdy żałował swego kroku... i nie byłbym się rumienił za ciebie, na którą żaden cień nie spada...

— Wierzę w twą szczerą Jerzy... znam twój szlachetny charakter...

— Marto moja, nie usuwaj się ode mnie — zawołał Jerzy.

Lecz m.oda dziewczyna mówiła z płaczem:

— Małżeństwo nasze jest już nie możliwe...

— Niemożliwe! — powtórzył Jerzy gwałtownie... niemożliwe... o tem ja tylko wyrokować mogę... Nie jestem dzieckiem, Marto... wiem, co robię i czego chcę... Życie moje nie było lekkie... przywykłem zastanawiać się nad swymi czynami... Twoje szczęście jest moim szczęściem... Sądziłem, że masz do mnie zaufanie... że polegasz na mojem zdaniu... że pozwolisz mi decydować w sprawie, którą lepiej ocenić mogę...

— Stoję na stanowisku, jakie zajmie świat cały w tej sprawie...

— A cóż mnie obchodzić może świat i jego sądy. Opuścimy Rygę... jeżeli tak wolisz... Jan pojedzie z nami...

— Nigdy — odparła Marta stanowczo. Nigdy córka człowieka uchodzącego, za mordercę, nie będzie żoną Jerzego Sturita.

Po tej scenie rozeszli się nieszczęśliwsi niż byli poprzednio. Marta wróciła do swego pokoju Jerzy wybiegł na ulicę, błąkał się czas jakiś, wreszcie wpadł jak nieprzytomny do mieszkania Paulina.

Doktor zrozumiał, że między narzeczonymi kwestya postawiona została jasno, — że warunki społeczne wykopały pomiędzy nimi przepaść nie do przebycia.

(d. c. n.)



Archeolog w opałach.

Krotochwila w I akcie.

(Ciąg dalszy.)

SCENA III.

Ciż i Krystyna.

Krystyna. Czy ty mię wołasz Remidziu? Zapiecki. Tak, jesteś mi potrzebna...

P. Krystyna. Czy się co znowu stłukło?

Zapiecki (powoli). Broń Boże... moja duszko... przyjeżdża do nas znakomity gość--Mumiewicz słynny archeolog, więc trzeba wspaniale wystąpić. Musi być prosie pieczone, pierogi ze śmietaną, chłodnik!

P. Krystyna (przerażona). Ależ zmiłuj się Remidziu, prosie i chłodnik to niema sensu...

Zapiecki. Czemu niema, mówię ci że będzie wspaniale...

P. Krystyna. Ale daję ci słowo...

Zapiecki. Duszeńko złota, pogadamy o tem, ale pierogi być muszą. to potrawa starożytna archeologiczna!

P. Krystyna (z rozpaczą). Ależ Remidziu zmiłuj się... Prosie z pierogami i chłodnik, to kom promitacja dla całego domu... i choroba.

Zapiecki (idąc ku drzwiom). Co ty tam wiesz... Wreszcie pogadamy (wychodzą).

Milczenie.

Jadzia. No i co — generalne fiasco?!

Marynia (ponuro). A tak... fiasco...

Kazia. Zgadłam... pan Zapiecki nigdy mu... tej nieszczęsnej urny nie przebaczy...

Marynia. A co to będzie jak Ludwik przyjdzie? Boże! jeszcze ten archeolog rozżali go więcej do tych utraconych prochów...

Kazia. Ja tam zaraz uciekam do ogrodu... i koniec.

Marynia. Ja tak samo. Nie chcę być świadkiem tej sceny...

Jadzia (gorzko). A to ładnie, zamiast dopomagać bratu uciekacie... To będzie bardzo szlachetnie...

Marynia. Moja kochana, przecież ty wiesz, że ja chcę zgody... i kocham Ludwika jak ty, ale taka awantura.. taka awantura...

Kazia. Cicho, ktoś puka... (zbliża się do drzwi). Kto tam..

Ludwik (za sceną). To ja...

Kazia. Co za ja?...

Ludwik. Ja! — Ludwik!

Wszystkie (uradowane). Ludwik! Ludwik! (otwierają drzwi).

(Ludwik wpada zamaszyscie).

Kazia. Ach!... co to będzie!... co to będzie!... (przerażona ogląda się z niepokojem).

SCENA III.

Ciż, Ludwik, (ma przyprawianą brodę, wasy, okulary na nosie).

Ludwik. Tak ja... Ludwik w całej swojej okazałości.

Kaziu. To nie Ludwiczek! to ktoś obcy.

Marynia. Cicho bądź. On przebrany przecież! z powodu tej...

Ludwik. Co, u was ciągle — stan wojenny?

Pan Zapiecki wojuje o stare miski, popękane garnki i inne fałszywe starożytności.

Marynia. Cicho, cicho... na miłość Boską...

Ludwik. Przepraszam was moje kochane, ale jeżeli sądzicie, że przyjechałem z prochami króla Popiela — to się bardzo mylicie... A jeżeli inaczej przebaczenia szanownego pana Zapieckiego otrzymać nie mogę, to zaraz nie czekając na nic, wyjeżdżam do Ameryki, gdy ani pan Zapiecki, ani moja rodzina nie chce mnie bez tej urny przyjąć...

Jadzia. Powoli, powoli. Wszystko będzie dobrze, tylko trzeba śmiało i sprężyć się działać.

Marynia. Musimy pomówić z kochaną panią Krystyną... Ona przekona męża, że to niemożliwe...

Kazia. Chodźmy do pani Krysty... do pani Krysty... chodźmy!... (idzie do drzwi).

Jadzia. Tak... tak...

Kazia (z przest్రachem). Pan Zapiecki idzie!...

Marynia. Ach, ach!

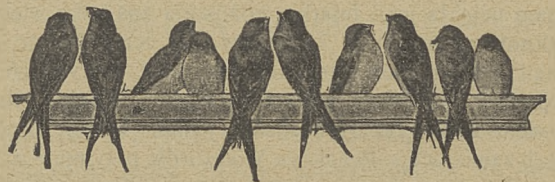
Jadzia. Spokoju, spokoju przedewszystkiem... Wyjdźmy wszystkie... Ludwika i tak nie pozna, bo przebrany...

Ludwik (składając ręce). Nie zostawiajcie mnie samego z tym zaciętrzewionym człowiekiem, bo on mi jeszcze głowę ukreści — i powie zaraz że to głowa Ryksy albo Dąbrówki!

Kazia. Chodźcie, chodźcie! on tuż blisko! (wybiegają).

Ludwik. No i zostałem sam jako jagnię, na pożarcie wilkom wydane...

(d. c. n.)



Skrzynka do listów.

Wystawa robót dzieci z ochronek.

Żle być ptakiem, który ani fruwać w odwiedziny nie może, ani zebrać swoje pisklęta pod skrzydła, żeby zaprowadzić je tam, gdzie znalazłaby matka-jaskółka ziarna zdrowe na pokarm dla ducha swej drogiej rzeszy. Ot i w tym tygodniu doznałam wiele dodatknych wrażeń, które mi chętnie dzieliłabym się z moją kochaną dziatwą, ale wy rozproszone po świecie, oddalone często nawet od Polski, czyż zbiegnąć się możecie na moje zawołanie?

Sama oglądałam wystawę robót dzieci z ochronek, sama bez was brałam udział w przyjęciu ochronek, słuchałam słów zachęty jakie dawano dzielnym pracownikom, podziwiałam zapał tych skromnych mro-

wiek, które dokonać mają wspólnymi siłami wielkiego dzieła.

Zadaniem ochron umoralniać i oświecać ubogą dźwiatwę, wychować zastępy szlachetnych i rozumnych obywateli ojczyzny. Czy mrówki podołają zadaniu? Początek już zrobiony. Była na wystawie mapa 10 gubernii Królestwa Polskiego, wpięte w nią maleńkie chorągiewki oznaczały wsie i miasta, gdzie są ochrony. Mało ich dotąd, ale przybývają wciąż nowe, więc miejmy nadzieję, że niezadługo pokryje się ziemia nasza ogniskami oświaty i umoralnienia, aż ogarną te pojedyncze płomyki wszystkie zakątki ojczyzny i uczynią ją godną dawnych naszych narodowych tradycji.

Nie mogę opisywać szczegółów, które podziwiałam na wystawie. Patrząc na słomiane plecienki, na zręcznie a mocno uszyte koszulki, na kapelusze, pantofle, koronki klockowe, samodziały tkane na małych warstakach, na wyrzynania z drzewa, wyplatania ze szuurków, włóczkowe i bawełniane ubiorki, myślałam o małych biednych rączkach, które te wszystkie pożyteczne i nawet artystyczne drobiazgi zrobiły.

Ileż takich rączyn próżnuje dotąd w Polsce, ileż z próżniactwa wyciągnie się po cudze dobro, ileż z czasem, idąc od występku do występku, zakują kiedys w kajdany, chcąc uczynić nieszkodliwemi! A jednak wszystkie one mogłyby pracować użytecznie, żeby dano im zajęcie i nauczono cieszyć się dziełami wykonanymi własnym przemysłem. Ale na to trzeba ochron, ochron jaknajwięcej, i jaknajwięcej szlachetnych mrówek-ochroniarek, jak te, z którymi rozmawiałam na wystawie i które z ochotą, z wiarą, z zapałem szły na trudne swoje stanowiska uczyć, poprawiać, oświecać.

Szczęść im Boże powiem na zakończenie wstępu do skrzynki; dodam jeszcze, móż je Boże! i już nie marudząc dłużej odpowiadam na listy wasze bu dużo nowych korespondentów odezwało się dziś do mnie, a młodzież z «Wieczorów» jest mi najbliższą dźwiatwą i powiększenie słę jej grona największą radością Jaskółki. I tak dzisiaj na kilka listów tylko odpiszę.

Zaczynam od *Miłości*. *Miłości* pragnieniem jest—uczyć się muzyki. żeby pozyskawszy samej mistrzostwo, kształcić w sztuce wybitnie zdolne dzieciaki wiejskie, bo znała chłopca, który komponował śliczne piosenki, ale dla chleba iść musiał po zarobek do miasta a tam ucichła jego fujarka, pozostała zaś tylko wieczna tęsknota za muzyką. «Aby tacy, jak ten chłopiec, nie ginęli marnie, postanowiłam dokładać wszystkich sił w przyszłości uczyć małych artystów.» Szczęść Boże! powiem znów, życząc *Miłości* tryumfu w jej szlachetnych zamiarach.—Redakcja *Wieczorów* przyjmuje wszelkie artykuły zostawiając sobie sąd o wyborze prac do druku. Niech cię to jednak nie zniechęca, próbować zawsze warto, a styl listu dobrze świadczy o młodej korespondentce.

Wiara ma inne zamiary, chce rozwijać uczucia religijne ludu i uczyć ten lud, aby zapobiedz nieszczęściom i nędzy wypływającym z braku oświaty. Ożywiona szlachetną ufnością pisze: «Wszystkie trzy wspólnymi siłami chcemy dążyć do jednego celu».

Wszystkie trzy, gdyż prócz *Miłości* i *Wiary* znalazłam w skrzynce list *Nadziei*, młodsza od swoich

przyjaciółek idzie jednak z nimi ręka w rękę ku ziszczeniu pragnień, którym błogosławię z całego serca. Tak poczynać sobie należy w obecnej chwili, bez pesymizmu, bez zagoryczenia partyjnego, bez tchórzostwa, tylko z wiarą, nadzieją i miłością budować Polskę przez polski lud. Witam w was trzech dzielne pisklęta, a wy nie zapominajcie o «Wieczorach» i pisujcie często na moją pociechę, na ukrzepienie całego naszego grona.

Pragnę tego ukrzepiania dla ciebie droga *Miriam* moja, bo rozumiem, że z żalem odjeżdżasz od ojca, o którego zdrowie niepokoją się wszyscy ludzie dobrej woli, życząc aby długo jeszcze pracował dla pożytku wydziedziczonych. Ale *Miriam*, wierz memu doświadczeniu, serce rodzicielskie tak bardzo potrzebuje szczęścia dzieci, że świadomość waszego zadowolenia z podróży wpłynie dobrze na zdrowie szanownego rekonwalescenta. Nie zapomnę o tobie—ty zaś pamiętaj donosić mi o Podolu, które Wincenty Pol nad wszystkie ziemie nasze ceni, a które oby ukołysało tęsknotę twoją

Jaskółka.



Od Redakcyi.

Przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwart. III i II półrocze lub o zawiadomieniu redakcyi, aby „*Wieczory Rodzinne*“ nadal wysyłać.

Do tego N-ru dołączamy *dodatek powieściowy za czerwiec: „Z pamiętników angielskich uczni”* (ark. 5 — 10).

TREŚĆ:

Kwiat paproci (wiersz z ryc.), przez Zofię Zacharkiewiczównę. — Wspomnienia z lat młodości, przez St. Br. — Jak budować dom, przez St. Br. — Westalki (z ryc.) przez Z. B. — Matura. — Król Bolesław Krzywousty zdobywa zamek Białogród na Pomorzu (z ryc.). — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Archeolog w opałach, (krotochwila). — Skrzynka do listów. — *Dodatek: W noc świętojańska* (z ryc.). — Z teki powinszowań. — Feniks i dywan czardziejski. — Zadania i łamigłówki.

Forteca. Gra kombinacyjna dla 2-ch osób. Wydanie z 26 pionami i planem 80 kop. Wydanie z 24 Japończykami, 2-a amatami i planem rb. 1.80. Wydanie z 53 pionami i dużym planem rb. 1.50. Wszystkie wydania w ozdobnych pudełkach z objaśnieniami. Do nabycia w kantorze wydawnictw *Wiśniakowskiego i Sp.* w Warszawie, Jerozolińska 25, m. 20, oraz w księgarniach i składach zabawek. Handlującym rabat.

Uwaga. Zamieszkałym poza Warszawą wysyłamy za zaliczeniem, każdą zażadana książkę dziecinna, lub zabawkę. Wystarczy podanie nazwy przedmiotu i przybliżonej ceny.

Prenumerata, wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

W noc świętojańską.

Cudowna noc letnia zeszła nad naszą Białowieską puszcza, tym ogromnym lasem, co siedm mil kraju wzdłuż, a sześć wszcz zajmuje i w gęstwinach swoich kryje niejedną wieś i miasteczko, uświetnione wspomnieniem głośnych królewskich łowów.

Cztery rzeki wypływają i ożywiają jej przestrzeń: Narew, Narewka, Leśna i Biała; drzewa liściaste i szyszkowe wszelkiego wzrostu i objętości przytulają się do siebie, szeleszcząc zgodnie; od dłoniastego liścia kasztanów do cieniuchnych modrzewich igiełek, znajdziesz tu wszystkie.

Niema na całym Polski obszarze drzewa, krzewu, jagody, szyszki, mchu lub porostu, którego tutaj baczne oko nie spotkało, w tem niby ogrodzie botanicznym, gdzie wszystkie roślinne skarby tak rozległej kiedyś naszej ziemi stanęły jakby do przeglądu lub zachowania.

Toż samo znajdujemy tu bogactwo i rozmaitość leśnego zwierza. Od polnej myszy, szkodnej łasicy i nikczemnego tchórza, do dzików, niedźwiedzi, ogromnych łosi z rozłożystymi rogami, aż do rzadkich i nigdzie już nie spotykanych żubrów wszystko tu ma swą przystań

i swoją głęboką i zaciszną knieję, gdzie wedle swego upodobania życie sobie urządzać może... Była to noc Świętojańska, Franek i Marta, dzieci zamożnego gonciarza, oddawna wybierali się szukać w tę noc kwiatu paproci i, ułożywszy wszystko, czekali tylko północy, aby się wymknąć do puszczy.

Gospodyni z sąsiadkami zwołały dzieci na „kupałę“, obiecując, że przy ognisku spotkają ojców, którzy przyjść tam mieli z roboty z lasu, z pełnemi kieszeniami obwarzanków, lecz Franka i Martę już to nie zaciekawiało, nieznacznie usunęli się z gromady otaczającej ogień i wsunęli w gąszcz leśną.

— A wierz ty, jak szukać kwiatu paproci? — zapytała Marta.

— Nie wiem, a jak?

— Najprzód trzeba siedzieć cichutko — rzekła uroczyście Marta — na żadne głosy nie zważać, patrzeć w paproć jak w tęczę, a gdy kwiatek zabłyśnie, chwycić go ostrożnie i uciekać do domu, choćby cię cała puszcza goniła.

— A potem?

— Co potem? Oto będziesz miał wszystkie bogactwa całego świata.

— Na cóż mnie to? Cóż jabym z temi bogactwami robił?



Marta, wzruszając ramionami, rzekła wzgardliwie:

— Choćbyś mnie dał, kiedy sam tyle nie rozumiesz.

— Przecieżes i ty przyszła po taki kwiatek, cóżbyś z dwoma robiła?

— Cicho! — zawołała Marta — patrz przed nami tyle paproci, mówić tu nie wolno.

Siedli więc w milczeniu na pniu drzewa, patrząc w cieniste zarośla. Franek nie spuszczał oka z pierzastych liści, Marta ciekawie pochyliła się nad niemi. Cisza była głęboka, nagle nieopodal dał się słyszeć żalony głos:

— Uhu! uhu!

— O dla Boga! co to jest — szepnęła Marta

— To puchacz odzywa się gdzieś w dziupli — uspakajał ją Franek.

— Cicho bądź — szepnęła uspokojona Marta, bo wszystko przepadnie.

— Hu! hu! hu! hu! zabrzmiało znów z wysoka, a w koło nich w powietrzu bujało się mnóstwo światełek, to świętojańskie robaczki ukazujące się obficie o tej porze, Marta drżała jak w febrze.

— Czy nie poznajesz głosu sowy — rzekł brat.

— Cicho! cicho! — szeptała Marta.

Tymczasem coraz więcej świetlików furkało w powietrzu, całemi rojami osiadały na krzakach, które w tem oświetleniu czarowne sprawiały wrażenie, dzieci zapomniały na razie, że przybyły tu po kwiat paproci, lecz za chwilę opamiętały się i całemi garściami poczęły rwać długie liście ze świecącymi robaczkami. W tem rozległ się w oddali gruby, przeciągły ryk żubra, powtórzony przez echo.

— Uciekajmy, uciekajmy! — krzyknęła Marta — widać, że mamy kwiat, kiedy nas gonią!

I puścili się szalonym pędem; na skraju polany spostrzegli w niepewnym świetle księżycy stado żubrów. Stary tur ryczał złowrogo. Marta skoczyła w bok w gąszcz leśną tak szybko, że Franek doścignąć jej nie mógł; myślał, że się zbłąkała, gdy żalony jęk wskazał mu miejsce, gdzie szukać miał siostry. Marta w nierozważnej ucieczce potknęła się o pień powalonego wiązu i ciężko się rozbiła; Franek wziął ją jak dziecko na ręce i szedł wolno ku zagrodzie, odpoczywając często. Marta uspokoiła się, spojrzawszy po sobie, pociągnęła rękę po wiszącym fartuszku i rzekła smutnie:

— A gdzie kwiat paproci?

Franek szybko zdjął czapkę z głowy, bo zdawało mu się, że nakładł w nią świecących gałązek, lecz nic w niej nie było prócz dwóch robaczek, które frunęły w powietrze.

Smutni i milczący poszli dalej powoli; gdy doszli do chaty, znaleźli drzwi zamknięte, ojco-

wie co tylko wrócili z „kupały“ pewni, że dzieci ich wyprzedziły, i spać się pokładły. Naraz dał się słyszeć głos matki.

— Dzieci moje! zginęły pewnie gdzieś w puszczy, może już je dziki zwierz rozszarpał.

— Uspokój się kobieto! — mówił ojciec — pójdę zaraz do sąsiadów, może się z kim zabrały.

I drzwi chaty otworzyły się, na progu ukazał się gonciarz z narzuconą na ramiona kapotą, za nim stała żona, załamując ręce i płacząc głośno, dzieci oniesmielone w tej chwili stanęły przed progiem chaty.

— Oto masz zbiegów -- krzyknął ojciec — mówiłem, że im się nic złego nie stało.

— O, niedobre dzieci, jakiegoście mnie strachu nabawili — lamentowała matka.

Ale Marta kroku postąpić nie mogła, wziął ją ojciec na ręce i zaniósł na jej łóżeczko, a kiedy matka troskliwie krzątała się około niej, ojciec rozpytywał, jakim sposobem lekkonogie dziewczę mogło uleść takiej przygodzie i po troszę dowiedział się całej prawdy.

— Po skarby więc, po bogactwa, dzieci moje poszły nocą do puszczy! — zawołał z oburzeniem. Czy to wam chleba w chacie brakuje? Czy ja nie dość pracuję, by wam na niczem nie zbywało, a matka wam nie dość dogadza?

Dzieci struchlały, bo nigdy jeszcze nie widziały ojca tak rozgniewanego, a sądząc, że się usprawiedliwią, poczęły naprzemian oboje tłumaczyć:

— Ależ, bo to ojciec idzie o ogromne zakłętę skarby...

Tu z kąta izby dał się słyszeć gruby i głęboki głos dziadka, o którym myślano, że śpi.

— Skarby, skarby zakłętę? A kto śmie nie poświęconą rękę wyciągać po to, co zakłętę zostało? A kto to śmie sięgać po skarby, na które nie zapracował?

— Ojciec! — rzekła gorąco matka — zostawcie to na później! Biedna Marta potłukła się bardzo... i cierpi.

— Właśnie póki cierpi niech prawdę usłyszysz — odrzekł dziadek — lepiej słowa moje zapamiętaj. Strzeżcie się dzieci bogactwa, któreby wam bez własnej pracy przyjść mogły, bo takie skarby to błotna rzeka, albo wypływa z bagna, albo wiedzie do kałuży, a kto po niej żegluj sam czystym pozostać nie może.



Z teki powinszowań.

Nadszedł nareszcie dzień wielce drogi,
Bo dzień, mateczko, (ojcze mój) twego imienia,
Dziśbym pragnęła pod twoje nogi
Dać gwiazdkę zdjętą z niebios sklepienia.

Ojcze mój drogi (Mateczko moja), dziś na wią-
Wszystkiebym skarby tobie dać chciała, [zanie.
Lecz i ta nawet za twe kochanie
Cząstka zapłaty byłaby mała.

Wdzięczności, która w mem sercu płonie
Żadnemi słowy nie odmaluję,
Więc ucałuję tylko twe dłonie,
I łza niech powie, co serce czuje.

Z. Z.



FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

Cyryl, stanawszy obok Roberta, podparł
z całej siły sklepienie, które -- rozumie się --
ani drgnęło.

— Tu są w sklepieniu drzwi, a raczej kła-
pa—objaśnił Cyryl, gdy Robert ciągle rozcierał
sobie głowę. — Tak — dodał macając — tu jest
zasuwa, ale nie mogę jej poruszyć.

Szczęśliwym trafem, jak się okazało, Cy-
ryl miał w kieszeni oliwiarzkę od ojcowskiego
roweru. Złożył więc dywan na dole schodów,
położył się na wznak, z głową opartą na naj-
wyższym stopniu a nogami, potrącającemi sto-
jące na dole rodzeństwo, i naoliwił zasuwę tak
obficie, że krople oliwy pomieszaney ze rdzą
zaczęły mu kapać na twarz. Jedna nawet do-
stała się do otwartych ust, bo dyszał od
wielkiego wysiłku, pracując w tak niezwykłej
postawie. Po chwili spróbował znowu, ale za-
suwa ani drgnęła. Przywiązał potem do niej
chustkę — tę samą od słoniny i marmolady —
do tej chustki chustkę Roberta za pomocą ścia-
gającego się węzła, który zacieśnia się, im bar-
dziej go ciągnąć. Robert i on zaczęli ciągnąć
z całych sił, a dziewczynki objęły w pół braci
i ciągnęły ich także, skutkiem czego zasuwa
ustąpiła, a cała czwórka dzieci stoczyła się na
sam dół schodów—tylko Feniks ocalał, bo gdy
zaczęło się ciągnięcie zasuwy, odfrunął prze-
zornie na stronę.

Nikt się nie potłukł, bo wszyscy padli na
dywan zwinięty na ziemi, poczem chłopcy wró-
cili na górę i zaczęli podpierać drzwi. Czuli,

że gład ustępuje, a kurz opadał na nich całemi
kłębami.

— Dalej! — wołał Robert, zapominając
o stłuczonyj głowie. — Raz! dwa! trzy!

Gład dzwignął się w górę. Zaskrzypiały
zardzewiałe zawiasy, ukazało się oslepiające
światło dzienne, i gład otworzył się, opadając
na coś, co go podparło. Wszyscy rzucili się do
wyjścia, ale nie mogli się pomieścić na kamien-
nej posadzce naokoło otworu, więc kiedy Fe-
niks wyfrunął też z lochu, spuścili napowrót
gład, który zapadł się z trzaskiem.

Nie możecie sobie nawet wystawić, jak bar-
dzo zabrudziły i zakurzyły się dzieci. Na szczę-
ście nie było nikogo obcego. Miejsce, do któ-
rego się dostali, było rodzajem kapliczki zbu-
dowanej przy drodze idącej wężykowato przez
zielono-żółtawe pola do wieży bez dachu. Po-
niżej były pola i sady, kępy brunatnych nagich
drzew i krzaków, i domki z ogródkami. W ka-
pliczce nie było frontowej ściany, i tylko tyle
miejsca, ażeby ludzie mogli przystanąć i przy
modlitwie zastanowić się nad sobą. Tak im po-
wiedział Feniks. W głębi kapliczki wisiał obraz
św. Jana, niegdyś kolorowany, ale deszcz i śnieg
wpadające przez odsłoniętą stronę splukały z nie-
go kolory.

Kapliczka wydawała się smutna i opuszczo-
na, a jednak Antea uważała, że miło tam musi
być biednym wędrowcom, kiedy strapieni i zmę-
czeni podróżą przystaną w niej na chwilę, i
zwrócą myśl do Boga, i zapragną być dobrzy.
Myśl o tym świętym Janie — natchnęła Antę
jeszcze większem pragnieniem spełnienia dobre-
go uczynku.

— Powiedz nam—zwróciła się do Feniksa
—co dobrego możemy uczynić w tem miejscu,
do którego przyprowadził nas dywan?

— Myślę, że trzeba odszukać właściciela
tych skarbów i powiedzieć mu, gdzie są —
odezwał się Cyryl.

— I oddać mu wszystko? — zagadnęła
Kizia.

— Tak! ale gdzie jest właściciel?

— Poszedłbym do pierwszego domu i za-
pytał, do kogo należą ruiny zamku — wyrzekł
złocisty ptak, a na jego radę wszyscy się zgo-
dzili.

Otrzepli się z kurzu, o ile mogli, i poszli
drogą. Niedaleko spotkali mały strumyk, spły-
wający z pagórka, i wpadający w kamienny ba-
sen otoczony zeschniętymi paprociami. Dzieci
umyły tam twarz i ręce, i otarły chusteczkami,
które—jak zwykle w podobnej potrzebie—oka-
zały się śmiesznie małe. Chusteczki Cyryla i Ro-
berta popsuły, co woda naprawiła. Ale mimo
to, całe towarzystwo przedstawiało się trochę
schludniej, niż przed umyciem.

Pierwszy stał przy drodze biały domek z zielonemi okiennicami i łupkowym dachem. Stał w małym, strojnym ogródku, a po obu stronach czysto umiecionej ścieżki ustawione były wielkie kamienne wazony do kwiatów, ale teraz wszystkie kwiaty poschły.

Z boku domu była szeroka, drewniana weranda, na której pięły się gałęzie winogrodu. W lecie musiało tam być przyjemnie, ale teraz smutne wrażenie czyniły brunatne łodygi i zeschłe liście, wiszące na drewnianych kratkach.

Dzieci poszły prosto do niewielkich, zielono malowanych drzwi wchodowych, przy których wisiał stary, zardzewiały dzwonek. Cyryl pociągnął za rączkę dzwonka, a hałaśliwy dźwięk rozległ się w całym domu. Ale Cyrylowi nagle przyszła myśl okropna.

— Ależ my nie umiemy po francusku! — zawołał.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, i stanęła w nich bardzo wysoka, szczupła pani, z puklami blado żółtawych włosów. Miała brzydką, popielatą suknię, czarny jedwabny fartuszek i oczy zaczerwienione od płaczu.

Przemówiła do dzieci po francusku, lecz — żadne nie umiało jej odpowiedzieć.

— Co ona mówi? — zapytał Robert, schyliwszy głowę do Feniksa siedzącego na jego piersiach pod kurteczką.

Ale zanim Feniks zdążył odpowiedzieć, twarz zapłakanej osoby rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

— Wy jesteście Anglicy?! — zawołała wymawiając dziwacznie. — Ja lubię bardzo Anglię. *Mais entrez — entrez donc!* — Wejdźcie do sieni. Nogi wyciera się na tym dywanie...

Wskazała matę leżącą na podłodze.

— Chcieliśmy tylko zapytać...

— Powiem wam wszystko, co zechcecie. Wejdźcie tylko!

Weszli więc, wytarłszy nogi na bardzo czystej macie, i złożyli swój dywan w bezpiecznym kąciku sieni.

— Najbardziej piękne dni mojego życia minęły w Anglii — mówiła gościnnie pani, zamknawszy drzwi. — A oddawna nie słyszałam głosu Anglików, żeby mi ją przypomnieć...

Dzieci były zakłopotane tem gorącym powitaniem, a najbardziej chłopcy, bo posadzka w sieni ułożona z białych i czerwonych tafelek i posadzka w saloniku tak połyskiwały — niby zwierciadło — że każdy musiał wstydzić się swoich butów i stukania obcasami.

(d. c. n.)

Zadania i łamigłówki.

Zagadka literowa

ułożył Koliber Złocisty.

Pierwsza w kawie,
Druga w trawie,
Trzecia w klasie,
Czwarta w czasie,
Piąta w Szwecyi,
Szósta w Grecyi,
Siódma wreszcie
Jest w areście.
Całe za to
Trwają w lato.

Zadanie arytmetyczne

ułożyła Zosia Klewińska.

Jadzia, Hania, Stefcia i Wandzia dostały funt czereśni i tak się nimi podzieliły, że Wandzia jako najstarsza wzięła sobie połowę wszystkiego, Hania połowę tego co zostało; Jadzia też połowę tego co zostało po wzięciu swej części przez Hanię, a Stefci dano pozostałe 8 czereśni. Ile też czereśni było w całym funcie.

Łamigłówka przysłowiowa

uł. Sokół Mazowiecki.

1) Chcesz 2) czy 3) czego 4) drugich 5) do 6) gdy 7) niema 8, poprawiać 9) poprawienia 10) przyjrzyj 11) sobie 12) się 13) tobie 14) wpierv 15) w.

Oto piętnaście wyrazów, które po ustawieniu w należytem porządku utworzą polskie przysłowie.

Rozwiązania do № 23.

Krzyża kryształowego:

	1	2	3						
	K		I						
	o	N	w						
	z	i	a						
1	K	o	z	i	e	n	i	c	e
2		N	i	e	m	o	w	a	
3	I	w	a	n	o	w	i	c	e
		i	w	i					
		c	a	c					
		e		e					

Szarady: Wa—ka—cye.

Przeplatanki literowej: Nie czyni tego drugiemu, co tobie nie miło.